

*Na początku było...*

Światło. Ciało. Ruch *chybotliwy*. Struktura. Liczba pi. A to wszystko by się *zwinąć, zwarzyć, rozpaść i roznieść* na wszystkie strony. Świat ograniczony, strukturalny, wciąż nawołujący się do życia, ale nieustannie kończący się. Trwający i skończony, odliczający i odliczony. Taka rzeczywistość, zanurzona w języku, a może nawet zniewolona przez język, podporządkowana algorytmom, liczbom i muzyce wyłania się ze z wierszy Sosnowskiego.

Zapewne nie jest niespodzianką, że *Trawers* jest „przechadzką”, choć czasem wydaje się, że „przebieżką”, po własnym twórczości. Poniekąd sugeruje to samo znaczenie słowa *trawers*, które zawiera w sobie ruch: to wspinaczka, wejście na szczyt jedną drogą, a zejście inną. Sosnowski wspina się więc po własnej sztuce, rewiduje ją, weryfikuje, zmienia. Pozwala jej (wy)płynąć, (wy)puszcza myśli na wolność. Widzimy bezustanny monolog, błąkający się po języku, ciągle szukanie własnego „pozajęzyka”. Wszystko przemawia, *kurz niemal szepce*.

Twórczość Andrzeja Sosnowskiego poszukuje nowych, niegotowych, kształtów. „Chodzi o przejęcie jakiegoś tradycyjnego języka i wyprowadzenie go poza znajome punkty odniesienia.” – komentuje sam autor. Tomik *Trawers* nie tylko jest zgrabnym połączeniem utworów z *Po Tęczy* i *Poems*, ale ich reanimacją, a Sosnowski bawi się nimi, dopasowuje pod sytuację, coś odejmuje, coś dodaje. Przemienia frazy, nadaje im nowe znaczenie lub pokazuje, że tego znaczenia nigdy nie było.

Wiemy już, że na początku było słowo. Ale jakie? Rozrzucone, rozsypane, byle-jakie, gdzie wszystko do wszystkiego pasuje, jak w wierszu *Gdzie koniec tęczy już dotyka ziemi*. Próbuje tę układankę poskładać, nadać sens, ale zjeżdżamy po słowach w dół. Coraz szybciej i szybciej przez coraz więcej słów i znaczeń. Niebezpieczna gra, gdzie chociażby jedna literka zmienia znaczenie, zmiana dokonuje się na naszych oczach. Dokonują się *najmniejsze poruszenia*. Hobbesowskie *conatus*, czyli ruch przez punkt w chwili, dzieje się nie tylko w budowie wierszy, ale także w jego warstwie znaczeniowej. *Conatus* jako próba ucieczki od ograniczenia językowego, od formy, *zakresu* przy jednoczesnej świadomości, że nie istnieje niejęzykowa myśl.

Matematyczny świat Sosnowskiego, gdzie nawet ludzkie dążenie jest różniczką, a pomieszanie znaczeń można opisać jako odległość na polu semantycznym, jeszcze bardziej niż język pokazuje granice rzeczywistości, granice ciała jako struktury wpisana we wzory. Wszystko przemija, pędzi, naznaczone jest ruchem:

*Szybkość tej pochylni*

*Olbrzymi pęd nurtu*

*Prowadzą do przez niebywale światła*

*I chemiczne innowacje*

Światło, obecne niemal w każdym wierszu, jednocześnie kreuje i *rozpada się na fale*. Czucie już nie jest metafizyczne, ale fizyczne. Słowa piętrzą się, a pozbawione głębszego znaczenia powodują chaos, rozproszenie. Wszystko dzieje się jakby spontaniczne, zgodnie z zasadą termodynamiki – entropia (zawsze) rośnie. Sosnowski nie musi nam o tym mówić, wystarczy, że pozwala słowom płynąć, a one tworzą coraz trudniejsze do uchwycenia ciągi znaczeń, tym samym ponownie zamykając się w rachunku różniczkowym. Rachunku, stworzonym przez Leibniza jako odpowiedź na problemy teodycealne, których w *Trawersie* nie brakuje: kompromitacja przymierza, przeinaczenie opozycji pierwszy – ostatni, wszystko – nic, rozproszone światło i puste słowo. Umniejszone przymioty Boga, sprowadzone do sił fizycznych. Boga, którego próbowaly udowodnić teorie zbiorów nieskończonych.

A jednak Jego wielkość schowana jest między jednym rozbitym słowem, a drugim. Dlaczego?

Czytając wiersze Sosnowskiego, może wydawać się wielokrotnie, że to fragment piosenki, która brzmi znajomo. Sam autor twierdzi, że „muzykę stanowi sam tekst, operowe słowo, które można sobie czytać, gwizdać, mrużyć, nucić, szeptać, wykrzykiwać [...]”.

*Na na na, Ballala lealala.*

Poeta odpowiada na steinerowskie pytanie: „czy istnieje poezja, muzyka myślenia?” bez wahania, a same wiersze, ich budowa, rytm, metaforyczność są tego potwierdzeniem. W *Trawersie* siła połączenia fizyki, matematyki i muzyki z otaczającym światem tkwi właśnie w metaforze, która nawet melodię przenosi na grunt niedosłowny. Wszystko wynika z siebie: translacja muzyki to ruch, w który wprowadza nas dualność sensu i znaczenia, ruch w fizyce, to różniczka w matematyce. Gdzie zatem znajdujemy Boga?

„Kiedy Bóg sobie pośpiewuje, śpiewa algebrę” pisał Leibniz. Przestrzenie *Trawersu* są niejako transkrypcją tego śpiewu. Zgodnie z twierdzeniem Pitagorasa o odwrotności kwadratów, gdzie muzykę można ująć algebraicznie, każdy wiersz ma inną melodię, różnorodną także w środku, zmieniającą swoje metrum, opadającą, wznoszącą, głośną i cichną. Słowa i muzyka są splecione ze sobą i dzieją się spontanicznie. Płyną, nie tłumaczą się z siebie. W tym właśnie spełnia się ich ontologiczność: „jestem, które jestem”.

Jednocześnie można odnieść wrażenie, że Sosnowski chce opisać rzeczywistość jak najlepiej, co widoczne jest w nieustającym potoku słów. Wszystkiego wydaje się za dużo.

I kiedy chaos ma już osiągnąć swoje apogeum, następuje cisza, *schtum*. Obserwujemy koncert wielkiej orkiestry, która na jedno drgnięcie dyrygenta cichnie. Wiersz jest z początku rosnącym chaosem, powiększającym się *horyzontem zdarzeń*, by pod koniec zniknąć nie zostawić śladu. Paradoksalnie jądro sensu tkwi w tym, co niewypowiedziane. Autorytarne *schtum* potwierdza tylko słowa Zygmunta Haupta: „Entropia wzrasta do zera”.

*Trawers* jest próbą – można nawet zaryzykować stwierdzenie *nerwową* – przedłużenia trwania ze świadomością zbliżania się końca, usiłowanie zatrzymania chwili, soczewki, spod której uciekają słowa, szybkie i rozmazane. Kolejne dodane zdania przy wręcz obsesyjnym spoglądaniu na zegarek i odliczaniu minut, są aktem kreacji nieskończoności, ucieczką od śmiertelności, od ciała, od struktury.

Z książką powinien zmierzyć się każdy, kto choć raz zastanawiał się, czy można uciec od świata i języka. Najbardziej jednak polecam ją tym, którzy uważają, że *należało zwątpić*.

Aleksandra Górecka